
EWA ZIÓLKOWSKA

„STARY NIEDŹWIEDŹ” NAS URATOWAŁ

Dom Sióstr Nazaretanek przy rue de Vaugirard w Paryżu. Siostra Maria Teresa, osoba bardzo serdeczna i bezpośrednia, rozpoczyna swoją opowieść. Oddała się szum wielkiej metropolii. Cofamy się w czasie niemal 70 lat.

Sielskie, beztrudne dzieciństwo spędzone w majątku rodziców w Jezupolu, w powiecie stanisławowskim, przerwała wojna. Ojciec poszedł na front, została z trojgiem rodzeństwa, mamą i dziadkiem, cudownym człowiekiem, który dbał o religijne i patriotyczne wychowanie dzieci. Miała dziewięć lat, gdy 10 lutego 1940 roku, rano o czwartej rozległo się straszne walenie do drzwi. Mamusia nie chciała otworzyć, ale w końcu otworzyła. Wpadli, posadzili mamę, przywiązali ją do krzesła, żeby się nie ruszała. A oni rozbiegli się po domu. Wszystko wyrzucali, rabowali, brali. Po jakiejś godzinie powiedzieli mamie, że ma się pakować. Mamusia mówi do mojego brata i do mnie: zaczynajcie zbierać rzeczy. Przynajmniej wszystko, co ciepłe. Była taka straszna zima. Do jedzenia nie wzięliśmy prawie nic, bo co tu brać. Wiem, że mieliśmy cukier w kostkach. Dziadzio został w domu, później dobrzy ludzie chyba się nim zajęli. Myśmy z bratem wyszli na podwórko i tam się żegnaliśmy ze zwierzętami, psem, końmi. „Jeszcze Polska” żeśmy sobie zaśpiewali. Przyjechał wóz i trzeba było wsiadać. Jedziemy do stacji. Wiedzieliśmy, że jakiś dziwny pociąg stoi tam od dłuższego czasu. Jedni mówili: na pewno rannych żołnierzy będą przewozić, bo były w nim prycze. Inni, że to może na jakieś zwierzęta albo zboże. I nas zawieziono na stację, gdzie stał ten pociąg. Zagoniono nas do wagonów, upchano jak śledzie, tyle, ile weszło. My na pryczach wysoko, starsi ludzie na dole. Płacz, rozpaczliwe krzyki. To było w piątek. Całą sobotę staliśmy na stacji, bo dowozili ze wszech stron ludzi. A w niedzielę ludzie wracali ze mszy świętej. Podchodzili pod pociąg i mówili nam: nie płaczcie, Bóg jest z wami, będziemy się za was modlić.

No i jedziemy. Ruszył pociąg. Było kilku panów, którzy z wojny wrócili. Oni usiedli na pryczy przy okienku, patrzyli i mówili: teraz koło

Lwowa przejeżdżamy..., a teraz nad Wołgą. Wtedy to była rozpacz. Ludzie, wiozą nas chyba na Sybir! Mój brat się rozchorował okropnie. Mamusi: herbatki. A nasze pożywienie wyglądało tak. Wieczorem pociąg stawał na jakiejś zabitej stacji, w wiadrze przynoszono polewkę, kawałki chleba, rozdawano i to było nasze jedzenie. Nie codziennie. Niektórzy mieli trochę jeszcze z domu. Mama dawała bratu cukier. O herbacie nie było mowy. I tak jechaliśmy, i jechaliśmy. Czasami pociąg stał kilka godzin, bo był śnieg taki straszny, że nie mógł jechać. Wtedy mówili mężczyznom, żeby wychodzili i odgarniali. I tak jechaliśmy bez końca. Zajechaliśmy gdzieś. Kazali wysiadać. Po tym śniegu idziemy z naszymi tobołami. Był jakiś duży dom, duża sala. To był wieczór, ciemno. Wpakowali nas tam. Tam było dosyć ciepło. I tak siedzimy i zasnęliśmy w tym ciepłe. W nocy rozpętał się straszny pożar. Starsi ludzie nas przez okno do śniegu wrzucali. Rano jeden strażnik powiedział, że to kiedyś była cerkiew.

Rano arby przyjechały i gdzieś nas wieźli i wieźli. Aż wreszcie zawieźli do Dżetygara – to miasto, gdzie była kopalnia złota. Nas dali do jakiejś sali. Tam było wiele rodzin. Zaczynały po nas wszy łązić, ani się umyć, ani higieny żadnej. Usiedliśmy na podłodze i czekamy na zmiłowanie. Mama bezradna, chciałaby nam coś zjeść dać, ale nic nie ma. Przyszedł enkawudzista i powiedział, że rano przyjdzie taki *predsiedatiel* i zrobi spis wszystkich dorosłych. Mężczyźni pójda do kopalni na dół, do złota, a kobiety na górze będą pchały wózki. Za pracę mama dostanie *taloncziki*, żeby *rebiata* mogły pójść do stołówki i dostać zupy. To długo nie trwało, bo mamusia się strasznie pochorowała, najpierw się przeziębiała, potem dostała tyfusu brzuszego, potem plamistego. Mamę gdzieś zabrali. A my, to ktoś nam coś dał, to chodziliśmy na żebry, to do jakiejś *chaziajki*, że będziemy zamiatać, żeby nam dała kawałek chleba. I tak żyliśmy. Była już wiosna i mówimy, że trzeba mamę odwiedzić, gdzie jest mama. To było wiele kilometrów za miastem. Idziemy odwiedzić mamę. Tam była *bolnica* zakaźna. Mama miała ogoloną głowę, wyglądała potwornie, ale była przytomna i coś mówiła. Zrozumieliśmy, że chce mleka. Następnego dnia chodziliśmy od domu do domu, prosiliśmy i jedna *chaziajka* się zlitowała. Wzięliśmy mleko do banieczki i biegiem do mamy. Przyszliśmy. Nic, nieprzytomna kompletnie, nawet nas nie poznała. Popłakaliśmy się wszyscy, myśleliśmy, że mama już na pewno umiera. Nikt się nami nie zainteresował. Więc wróciliśmy. Wypiliśmy po kapeckce mleka. Potem, po długim czasie mamusia wróciła, jak szkielet na chudych nogach. Strasznie wyglądała. Nie mogła już iść do kopalni, nie miała siły, więc dali ją do szpitala. I tam pracowała. To była dla nas zbawienne, bo przynosiła nam na wieczór trochę zupy, trochę kartofli. I tak żyliśmy. Życie wewnętrzne, duchowe było wspaniałe, w baraku śpiewaliśmy litanię do Matki Bożej w maju. Enkawudzista najpierw tak wrogo patrzył, ale nic nam nie powiedział, tylko kiwał głową i odchodził. W le-

cie, ponieważ nie było co jeść, to szukaliśmy na stepach grzybków. Kiedyś z moją siostrą nazbierałyśmy grzybków i idziemy na bazar. Przychodzi jedna *chazajka* i pyta: czy one są robaczywe? Wzięła jeden, przełamała, a tam coś wyłazi. I zaczęła na nas krzyczeć, że my oszukujemy, druga się zlitowała i coś nam dała. Na tym się skończyło nasze grzybobranie. Trzeba było zbierać tzw. kiziaki, wydzieliny bydlęce, które zasychały na stepie, to był opał na zimę.

Potem mama znowu zachorowała, więc my mówimy, musimy iść do pracy. Mój brat miał 11 lat, przyjęli go do pracy, woził glinę na kałamaszce. To był stachanowiec, im więcej, tym lepiej. Rano budził się i mówił: „jak zarobię, kupimy mamie pantofle, cukru i herbatki.” W porze obiadowej niosłam jemu wodę z chlebem, jak był. Koń był dziki dosyć i to dziecko miało rany na rękach. Na końcu miesiąca mamy wszelkie plany, pójdziemy do sklepu i zrobimy mamie niespodziankę. Ja przychodzę, a on siedzi skulony i płacze, mówi: nie dali mi pieniędzy, bo jestem za mały, tylko kilka kopiejek, ale nic za to nie kupimy. Szliśmy do domu płacząc. Ja tego nigdy nie zapomnę, żeby tak oszukać dziecko. Poszłam na służbę, jakaś *chazajka* mnie przyjęła do pilnowania dzieci. Dochodziły wieści, że musimy stamtąd wyjechać i każdy musi sobie opłacić transport. My byliśmy samą nędzą. Wszyscy wyjechali, mama została z nami. Ale jakoś pieniędzy trochę nazbieraliśmy i dojechaliśmy do jakiejś stacji. Przyjeżdżamy po miesiącu, a ci wszyscy ludzie tam siedzą na swoich tobołach, nie ma żadnego pociągu. Co tam się działo.

Ale wieczorem w nocy gwizdże pociąg. Bractwo się pobudziło, partrzą, zajechał pociąg towarowy na stację. Ktoś powiedział, że mają wsiadać. Wszyscy rzucili się na ten pociąg, wrzucali toboły przez okno, przez drzwi. Ludzie się tratowali, zabijali. Wszyscy pojechali, a myśmy zostali. My nie mieliśmy siły, żeby pakować się do tego pociągu. To był jeden z najczarniejszych dni. Oni odjechali, myśmy usiedli na naszych tobołach i mama mówi: koniec z nami. Myśmy ją pocieszali: mamusiu jakoś to będzie. To była malutka stacyjka i przyszedł *zawiedujuszczij*, podszedł do nas i widział, że mama płacze bardzo. I mówi: czemu ty tak płaczesz? Mamusia na to: ledwie tych pieniędzy nazbierałam, mieliśmy jechać, a będziemy tu siedzieć i umrzemy z głodu. A on: nie płacz, ja się podzielę z *rebiatiami*, nie płacz. Ten człowiek nam dawał z małych ilości swojego pokarmu, dzielił się. Myśmy go nazywali *batiuszka*. I były zabawy na torach kolejowych, czasu było dużo, tośmy się bawili. Było nawet nie tak bardzo smutno.

Któregoś dnia pociąg jedzie, gwizdże, wreszcie zajechał na stację. My patrzymy, a to polscy żołnierze, mobilizacja do Andersa. Oni nas załadowali i wio, jedziemy. *Batiuszka* płakał. Dali nam sucharów swoich, nakarmili nas. Oni gdzieś jechali dalej, a nas wysadzili. To było miasto Farab nad Amu-darią i tam potem była straszna podróż. Załadowali nas na łódzie bydlęce i się płynęło. Przywieźli do strasznej dziury, do lepian-

ki. Przyszedł Uzbek i mówi, że od jutra mamy iść do pracy. Dzieci też. Co będziemy robić? Dał nam duże worki i trzeba było iść na plantację bawełny. Krwawiły nam palce, mama z jakiś łachmanów robiła nam ochraniacze. Gehenna. Za tydzień takiej pracy dostawaliśmy woreczek uruku, to był ni ryż, ni kasza, i mamusia nam to gotowała. Nawet nie było najgorzej, bo coś było do jedzenia. Mój brat ciężko chorował, miał dyzenterię. Ale jakoś to przeżyliśmy. Któregoś dnia zajeżdża Uzbek i mówi: wy stąd macie wyjechać. Wsiedliśmy do arby, po drodze kazał wysiadać, kłął, bo było błoto. Jedziemy las, noc, jak ja się strasznie bałam. On jechał, przeklinał, bił konia, wreszcie nas podwiózł pod stajnię. Było duże pole i była pusta stajnia. Kilka innych rodzin z różnych stron, Polaków, też przyjechało. Powiedział, że teraz będziemy tu mieszkać. A tam słoma po bydło. Od razu przyszedł jeden i powiedział, że osoby starsze muszą iść jutro do pracy, rowy kopać. Ludzie ledwo żyli, ale trzeba było iść. Mamusia chodziła i kopała te rowy. Starsi jeden po drugim mdleli tam, dostawali gorączki i ich gdzieś wywozili. Myśmy nie wiedzieli, gdzie. Mamę też wywieźli do szpitala. A my zostaliśmy, same dzieci, wszyscy dorośli gdzieś znikli. Było chyba trzynaścioro dzieci, najstarsza moja siostra, która miała trzynaście lat. Monikę wysyłaliśmy na żebry. Był tam pasterz, który pasł owce. Mówiliśmy: idź Monika do dziadka po lepioskę. On trzęsącymi się rękami dawał jej kawałek, to była uczta.

A chłopcy nasi chodzili do krów, żeby im wyciągnąć makuchy, to były takie cegielki prasowane ze słonecznika i ktoś powiedział, że to można jeść. Oni to wykradali. A myśmy chodziły zbierać kolące rośliny suche, żeby było czym palić. Moja siostra tłukła makuchy kamieniem, kawałki grzała na łopacie i dawała nam jeść. Tak żyliśmy. Jak wszyscy dorośli wyjechali, to nikt nam nie mógł wody wyciągnąć. Była taka zamulona studnia, strasznie głęboka. Razu pewnego przychodzimy pod tę studnię, stoi człowiek. Poprosiliśmy go i wyciągnął nam wodę. To był św. Józef zesłany z nieba, bo bez wody my byśmy tam pomarli. On wyciągał nam tę wodę i nigdy słowa nie powiedział. Kiedyś przychodzimy, a on leży, umarł pod tą studnią. Boże, co to była za rozpacz, to był koniec. Mówiliśmy, że jego trzeba pochować. Chłopcy starymi łyżkami i łopatami wykopali dół i tak go pochowaliśmy. Już nie było wielkiej nadziei, że przeżyjemy. Kto nam pomoże? Nikogo nie było. Ale modlitwy wieczorne były, moja siostra nas zachęcała, żeby się nie martwić. Któregoś wieczora siostra znalazła trochę mąki w słomie, bo ludzie chowali, i mówi do dzieciarni, że będą placki. My już wszyscy gotowi, obścapiłiśmy łopatę i śpiewamy „Stary niedźwiedź mocno śpi...”. Raptem patrzymy, na koniu jakiś człowiek się zbliża do nas i pyta: kto wy jesteście, kto się wami opiekuje? My mówimy: ona, a siostra była zajęta plackami. Zszedł z konia: wy tutaj sami, a gdzie są rodzice? To był wysłannik gen. Andersa. „Stary niedźwiedź” nas uratował. Ten pan mówi, że rano przy-

śle wielbłąda albo arbę po malutkie dzieci, a reszta musi iść piechotą, 40 km do Szachrisabz. Dzieci pojechały, a myśmy mieli niby za tym wielbłądem iść. Ale wielbłąd poleciał, a my idziemy, idziemy. Wieczorem przychodzimy nad jakąś rzekę. Stoi Uzbek i ma tratwę. Mówimy: przewieź nas na drugą stronę. A macie ruble? Nie. To idźcie dalej, tam jest woda płytka, możecie przejść. Jakoś udało się przejść, ale nogi były tak pokaleczone, byliśmy bez butów, że ja powiedziałam: tu zostaję, ja tu chcę umrzeć, ja już nie idę. Siostra mówi: ja cię wezmę na barana. Albo nie, teraz zmówimy „Pod Twoją obronę” i będziemy biegli. Nic nie pamiętam, czy ona mnie niosła, czy biegłyśmy. Budzę się, patrzę, myślałam, że jestem w niebie. Jakaś pielęgniarka była ubrana na biało, myślałam, że to anioł. A ja dostałam jakiegoś letargu, komy, 24 godziny spałam. Co to była za radość. Tam był obóz naszych żołnierzy, to było nasze ocalenie, dawali nam jedzenie. Ciągłe nam się śnił chleb.

Potem gen. Anders wydał rozkaz ewakuacji. Do jakiegoś pociągu nas dowieźli i mieliśmy jechać w stronę Krasnowodzka. Wagon często odczepiali, na wielu stacjach stał ten wagon, myśmy umierali z głodu, nie było nic do jedzenia. To były makabryczne rzeczy. I wreszcie jakoś nas tam dowieźli. I wtedy trzeba było się przygotować i siadać na okręt. Myśmy nie zdawali sobie sprawy, co to było za szczęście. Żołnierze nam dali zupę w puszkach i suchary na drogę. Dzieci były takie głodne, że ktoś nam otworzył puszki i tę surową zupę zjedliśmy. Jak wsiedliśmy na ten okręt, wszyscy strasznie się pochorowali.

Ale nic, przyjechaliśmy do Pahlewi. Trzeba było zejść po drabinach ze sznurów i ja się bałam okropnie. Łodzie stały, nas łapali i przewozili. I przyjechaliśmy. Tam palmy, ludzie uśmiechnięci i żołnierze. To było nie do wiary. Byliśmy wolni. Ile tam dzieci wymarło, tam jest cmentarz polskich dzieci. Moja siostra była mądra, bo nie pozwalała nam brać dużo na raz, tam dawali nam daktyle, suchary. Niektóre dzieci z łakomstwa się przejadały, żołądki ich strasznie bolały i umierały. A jeszcze przed odjazdem poszliśmy odwiedzić naszą mamę, nieprzytomna leżała. Chcieliśmy z nią zostać, ale był rozkaz Andersa, że nie wolno...

Pamiętam pierwszą mszę świętą, arcybiskup Gawlina był w mundurze wojskowym i jako kielich miał kubeczek żołnierski z niklu. To była chyba Wielkanoc. Co to były za płacze... Jak to można było wszystko przeżyć?

Były też zabawne historie. Wszystkie dziewczyny w Pahlewi musiały ogolić głowę, miałyśmy wszy. Moje dwie siostry poszły do bani na kąpiel, dezynfekcję. I kudelki *out*. Ja patrzę, one przychodzą w chusteczkach na głowie, mnie taki śmiech ogarnął. Do dziś nie mogę sobie tego darować. Ja nie mogłam wytrzymać, jak one komiczne wyglądały. Poszły, ubrały się w jakieś amerykańskie szmaty modne, tak śmiesznie wyglądały. Przychodzi kolej na mnie, mówię: o nie. Cesałam, cesałam,

sanitariuszka mnie obejrzała i było dobrze. Przychodzę z włosami, a moje siostry z zazdrości pękały.

Koniec moich włosów był inny. Zawieźli nas do Teheranu, tam były obozy, chodziliśmy do szkoły w żołnierskich barakach. Każdy musiał sobie przynieść cegłę do siedzenia i kilka kamyczków na matematykę, nic drukowanego nie było, żadnego ołówka, nic. Moje dwie siostry się pochorowały. Ja zostałam sama. Siadałam rano na schodkach do baraku i tak siedziałam, i płakałam. Panie szły: dziewczynko, czemu ty tak płaczesz? Nikogo nie mam, tatuś nie wrócił, mama w szpitalu, chyba już umarła, moje dwie siostry poszły do szpitala, a brat do junaków. Tak siedziałam dzień, drugi. Któregoś dnia siedzę i znowu lamentuję. Jedna pani wzięła mnie za głowę i powiedziała: chodź ze mną. Zabrała mnie do punktu sanitarnego, miałam straszną gorączkę i tam zostałam, straciłam przytomność. Budzę się któregoś dnia i czuję, że mi obcięli włosy. Zrobiłam im komedię. Proszę mi oddać moje włosy, ja nic nie miałam. Długo byłam w szpitalu. Strasznie się umarłych bałam, codziennie kogoś wynoszono na noszach. Któregoś dnia po mnie przychodzą, ja fikam, wołam: ja nie umarłam. Sanitariusze mówią: cicho mała, bo cię oddamy szakalom, ale się nie najedzą takim kościotrupem. Różne takie sceny pamiętam. Generał Anders przyjeżdżał, Renata Bogdańska, były różne patriotyczne spotkania, śpiewy, „Nie rzucim ziemi”...

Później podzielono dzieci na grupy i wywieziono do Isfahanu. Tam był raj. Mieszkaliśmy w dawnych perskich pałacach, było jedzenie, pamiętam, zawsze rano był talerz zupy, kartofle, fasola, ogórki, co tylko było pod słońcem. Nie byliśmy głodni. Persowie przynosili lepioszki, które się darło na kawałki i jedliśmy. Na obiad bakłażany nadziewane. Tam nami się naprawdę dobrze opiekowano, już mieliśmy łóżka nawet. Wychowawczynie były bardzo dobre. Nauczyciele strasznie chcieli podpedzić nasze braki okropne w nauce. Było bardzo dobrze. Tam przez trzy lata byliśmy.

Kiedyś po południu myśmy z Moniką sobie stały, taki perski park był, i wychowawczynie mówi: przyszła tu jakaś pani do was. Idziemy ze strachem. Patrzymy: stoi widmo w szlafroku z zawiniątkiem pod pachą, ogolona głowa, kościotrup. Kto to? A mama mówi: to mnie nie poznajecie? Dopiero po głosie... Zaczęłyśmy ją przeproszać, całować, płakać. Jaka była dla nas dobra, przynosiła chałwę, migdały, daktyle, takie wspańiale paczuszki. Opiekowała się nami, a jednocześnie pracowała.

A zapomniałam. Jak byliśmy w Teheranie, to odwiedził nas szach Reza Pahlavi, przyszedł z żoną i malutką córeczką. I cukierki przynieśli w dużym worku i nam rozdawali. Był bardzo zainteresowany i nas wspomagał.

I z Isfahanu wyjechaliśmy do Bagdadu, w Iraku nie byliśmy długo. Jak tam było strasznie gorąco. Żołnierze hinduscy przynosili bryły lodu i myśmy na tym siedzieli. Stamtąd pojechaliśmy przez Libijską Pustynię

do Syrii, byliśmy troszkę w Damaszku, a potem do Bejrutu. I w Bejrucie nas rozdzielali do różnych osiedli, bo Libańczycy przyjmowali nas do siebie, do swoich domów. Pod Bejrutem przyjęła nas rodzina z dwojgiem małych dzieci, miałyśmy jeden pokój: mamusia i nas trzy. Tam Delegatura Polska była, polski rząd się nami interesował i dawał zapomogi. Ludzie byli bardzo dla nas dobrzy, tam byli muzułmanie i katolicy, nigdy nie widziałam, żeby były jakieś zatargi. Moja siostra zorganizowała harcerstwo, dojeżdżał do nas Ryszard Kaczorowski, wtedy był harcmistrzem. Robiliśmy różne imprezy, na które przychodził prezydent Libanu, tańczyliśmy kujawiaka, krakowiaka, oni nie mogli się nadziwić, na 11 listopada uczyłyśmy się „Reduty Ordona” i Słowackiego.

Któregoś dnia pan odpowiedzialny z delegatury powiedział, że niestety uznano rząd lubelski, Rząd Londyński nie może się nami opiekować, bo Liban uznał ten rząd. To był rok 1948. Trzeba było stamtąd wyjechać. Wyjechałyśmy do Anglii, najpierw byłyśmy w Southampton, potem w Londynie. W Stowell Park kończyłam szkołę dla polskich dziewcząt. Tam były wspaniałe warunki. Głodne nie byłyśmy nigdy. Było nas chyba ze czterysta dziewcząt, mieszkaliśmy w barakach powojkowych, miałyśmy wspaniałych nauczycieli. Doszłam do małej matury. Następnie zdałam maturę i angielską, i polską. Potem wstąpiłam do klasztoru.

A rodzeństwo? Brata nie widziałam 13 lat. Potem tatusia spotkałam. Co to było za spotkanie. Tata był w niewoli niemieckiej i jak się wojna skończyła, to on wracał do Jezupola. Przepustkę dostał i pojechał, a tam wszystko zburzone, po naszym domu ani śladu, tylko stał krzyż nieznanego żołnierza. On myślał przez jakiś czas, że my pod tymi gruzami jesteśmy. Tam nic nie było, nikt nic nie wiedział. Zamieszkał w Poznaniu. Któregoś dnia czytał gazetę, a mama ciągle się dowiadywała przez Czerwony Krzyż, i on przeczytał w gazecie w Polsce, że my jesteśmy w Libanie. Szalał podobno na ulicach, całował ludzi, ścisnął. I wysłał pierwszy list. Co to był za list, zalany łzami, ani kropki, ani przecinka. Jedno słowo się powtarzało: życie. Tatusz starał się bardzo o przyjazd do Londynu i w końcu mu się udało. Ja byłam wtedy w Rzymie. Któregoś dnia przychodzi do mnie przełożona i mówi, że mogę jechać do Londynu zobaczyć się z tatusiem. Po 19 latach. Co to było za powitanie, co to było za przeżycie. Nigdy, nigdy tego nie zapomnę. Potem, po jakimś czasie przyjechał drugi raz i został w Anglii. Brat Edward był w szkole lotniczej w Egipcie i w 1948 roku też przyjechał do Anglii, bo ich zdemobilizowali. Cała rodzina przeżyła.

Kończy się opowieść. Obie ukradkiem ocieramy łzy. Wspomnienie jest tak żywe, że czas przeszły miesza się z teraźniejszym. A w tylko z pozoru spokojnej relacji, w istocie nabrzmiałej emocjami, po tylu latach spędzonych na obczyźnie pobrzmiwa lekki kresowy zaśpiew.

Siostra Maria Teresa, w latach 1992-2001 Przełożona Generalna Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, obecnie przeło-

żona nazaretanek w Paryżu, zapis swoich przeżyć zawarła w niewielkiej książeczce *Pamiętam... I nie pamiętam... Wspomnienia z lat dziecięcych i młodzieńczych (1940-1950)*, Paryż 2006. Opisała w niej językiem barwnym i potoczystym swój wojenny, tułaczy szlak z rodzinnego Pokucia przez Kazachstan, Uzbekistan, Persję, Irak, Liban do Anglii i Rzymu. Jak sama przyznaje, nigdy nie zamierzała spisywać wspomnień. Dzięki namowom, głównie sióstr z jej zgromadzenia, relacja ujrzała światło dzienne, początkowo na łamach londyńskiej „Gazety Niedzielnej”, później w postaci książkowej w Rzymie (1994 r., po włosku), w USA (1997 r., po angielsku) i wreszcie dwa lata temu w Paryżu, po polsku.

Autorka ma świadomość, że to, przez co przeszła było udziałem wielu, że „to tylko kropla wody w oceanie ogromnych cierpień ludzi, zwłaszcza dzieci, które przeżyły koszmar deportacji...”. Ale tak, jak ważny jest los każdej polskiej rodziny, tak ważne jest to jednostkowe świadectwo, będące częścią polskich dziejów czasu wojny i okresu powojennego. Tym bardziej, że są to przeżycia małej, bezbronnej dziewczynki. Autorce i jej rodzeństwu udało się przetrwać dzięki głębokiej wierze i modlitwie, które dawały nadzieję. Świadectwo s. Marii Teresy jest też hołdem oddanym gen. W. Andersowi, który „osobiście roztaczał opiekę nad wracającymi do życia dziećmi”. Lektura tych wspomnień porusza i skłania do zadumy nad wyгнаńczymi losami Polaków również po 1945 roku.

